

...W Ystad, w maju 1974 roku – to znowu wspomina Paweł Smaczny – Zbigniew Boniek zagrał w turnieju UEFA. Gdy nasza ekipa, nie odnosząc sukcesu, wracała przedwcześnie do domu, podszedł do mnie i podziękował za obronę jego osoby w „Piłce Nożnej” w artykule „*Pokrzywy nad Brdą*”. Uznałem to za miły gest, ale powiedziałem Zbyszkowi, że równie dobrze za to, że nie zniknął z pola widzenia może dziękować redaktorowi Lechowskiemu. Dodałem przy tym, że to dopiero początek drogi. Ważne teraz, żeby nie zawiódł pana Konrada i ludzi mu życzliwych...

Boniek, moim zdaniem, jako piłkarz nie zawiódł nigdy i nikogo. Po raz pierwszy zagrał w reprezentacji w Chorzowie w przegranym towarzyskim meczu z Argentyną, ale ani przez chwilę nie okazywał tam debiutanckiej tremy. Nawet na ignorantach wywarł dobre wrażenie, lepsze niż mój ulubieniec Janusz Kupcewicz. Po meczu ze Szwajcarią w Bazylei, gdzie strzelił pierwszą bramkę dla „biało-czerwonych”, był obok Leszka Ćmikiewicza jaśniejszym ogniwem w drugiej linii. Tylko oni dwaj starali się potwierdzać fakt tak oczywisty, że gra w pomocy jest nie tylko zaszczytem lecz przede wszystkim zadaniem bardzo odpowiedzialnym. To właśnie po spotkaniu w Bazylei Grzegorz Lato zwierzył mi się, nie bez żalu i lekkiego oburzenia:

...Mówi się i pisze, że ja i moi koledzy z napadu gramy za mało skutecznie. To prawda. Ale czy wie pan, redaktorze, dlaczego? Od dłuższego czasu jesteśmy zdani tylko na własne siły. Nie mamy pomocy... Tak dobrej, jak na mistrzostwach świata w RFN. Grali tam nie wyrobownicy lecz dwaj artyści – Henio Kasperczak i Zyga Maszczyk oraz jeden – wielki wirtuoz – Kazio Deyna. A przecież już nie raz pisał pan: „*Pokaż mi drugą linię, a powiem ci, jaką masz drużynę...*”.

Być pomocnikiem, to znaczy umieć grać w obronie i ataku. Już w tamtych czasach do wykonywania zbliżonych zadań skłaniano również obrońców. Nie bardzo zgadzał się z takim stawieniem sprawy Antek Szymanowski. On najchę-

niej widziałby to w wymiarze tradycyjnym – obrońca przede wszystkim broni, zaś napastnik atakuje. Tak też odniósł się do postawy tych formacji w Bazylei. Moja wizja była inna, więc mocno się starliśmy. Nie kwestionowałem podstawowych kanonów tej teorii, znanej zresztą od dziesiątków lat. Przekonywałem jednak Antosia, że współczesny futbol wymaga od zawodników większej wszechstronności, znacznie wykraczającej poza tradycyjną technikę i taktykę pozycyjną.

Pięć kolejno przegranych spotkań międzypaństwowych jeszcze raz skłoniło mnie do wskazania źródeł niepowodzeń. Jednoznacznie wyraziłem to w publikacji: „*Patrzę na reprezentację, widzę kluby*”. U nas nigdy jednocześnie dobrze nie grały kluby i zespoły reprezentacyjne. Raz jedno, raz drugie zbierały oklaski. Teraz zbierają ciężki. Co się stało? Kto winien? Zmęczyli się zawodnicy, trenerzy, działacze? A może już wszyscy razem mają dość tej stałej pogoni za sukcesami? Może poszukują „wygodniejszego” życia? A może brak nam dobrych trenerów w klubach i związku z tym także zawodników na potrzeby reprezentacji?

Tych „może” było znacznie więcej, tylko co zmieniło by to tuż przed Montrealem? Czy nasilająca się krytyka nagle odrodziłaby reprezentację na miarę naszych ambicji i niedawnej tradycji? Pogłębiający się zanik wiedzy techniczno-taktycznej: wślizgów, dryblingu, zwodów, celnych strzałów stał się łatwo dostrzegalny. Dziwić musiał także potęgujący się wstręt do pressingu i szybkiego ataku, zupełna bezradność na „pułapki ofsajdowe” przeciwnika i spóźnione reakcje przy stałych fragmentach gry. Starsi stażem zawodnicy byli bez formy, a młodsi po prostu niedouczeni. Tu należało szukać odpowiedzi za długą serią niepowodzeń. Wątpliwości nie ustawały. Już wszystko stracone czy jeszcze część tych mankamentów da się naprawić na zgrupowaniach kadry?

Nie było takiej pewności. Kadrowicze tracili motywację, poszukiwali demobilizujących usprawiedliwień. Po co się męczyć, dbać o formę, doskonalić taktycznie, skoro skład ekipy na Montreal jest już praktycznie ustalony. Za zasługi

pojada tam rutyniarze, młodzież zostanie w domu. Nie ma więc potrzeby walki za wszelką cenę. Klamka zapadła. W naszej redakcji przyjmowano te kapitulancie głosy z oburzeniem. Przestać czarować! –Umiemy odróżnić ziarno od plewy! Dobrego kandydata do reprezentacji od patałacha! Od ostatecznych nominacji jest trener Górski, on najlepiej wie, co „w trawie piszczy”. Zresztą, od dna łatwiej się odbić...

SĄD NAD „SREBRNĄ DRUŻYNĄ”

„Co dalej reprezentacja?”... Sytuacja jest trudna, ale nie beznadziejna. Dziennikarz powinien być optymistą i... mieć w sobie coś z wizjonera. Najważniejsze – nie być wazeliniarzem i mieć oczy szeroko otwarte. W środowisku nadal piono z zachwyty nad przyszłością „srebrnej drużyny”, moi koledzy z „Piłki Nożnej” i ja nieco inaczej to widzieliśmy. Miałem z tego powodu kilka kolejnych słownych starć z „obrazalskim” Antkiem Szymanowskim i stale coś burczącym pod nosem Jerzym Gorgoniem, a red. Zygmunt Lenkiewicz za ukazanie prawdy i tylko prawdy o wyskokach Mirka Bulzackiego został pozwany na salę sądową. W tej sprawie też byłem „świadkiem koronnym”. Ostatecznie strony – myślę, że moja rola była tu znacząca – podały sobie ręce. Zgoda buduje. Odwrót reprezentacji jednak postępował.

Czytelnikom należało wyjaśnić, kiedy to wszystko się zaczęło. Na samo dno reprezentacja spadła po przegranej z Irlandią 0:2 w Poznaniu. Diagnoza łatwa do postawienia. Znacznie trudniej było wskazać początki kryzysu. Czy zło zaczęło się już wówczas, kiedy młodych ludzi w karykaturalny sposób obsypywano zaszczytami? A może wtedy, gdy w porę nie zareagowano na antysportowe zachowanie Gorgonia i Szarmacha i zgodzono się na ich wyjazd do USA i Kanady? Nie bez wpływu na złą atmosferę wokół piłkarstwa był też jawny handel ligowy-

mi punktami. Oliwy do ognia dolały boiskowe utarczki zawodnika Deyny z sędzią piłkarskim Suchankiem. Wiele do życzenia pozostawiała praca szkoleniowa w klubach. Wreszcie może trener Górski też już miał tego wszystkiego dość?...

Historia nieco ułatwiła odpowiedź na pytanie „**Co dalej reprezentacja?**... Podobne dno, jak przed Montrealem, przeżywaliśmy już dwukrotnie. Pierwszy raz, gdy w roku 1956 przegraliśmy u siebie z NRD 0:2, a drugi w 1965 z Finlandią w Helsinkach. I nagle – po tych dwóch niewypałach – wszystko odżyło. Najpierw jesienią 1957 roku w Chorzowie Polska pokonała ZSRR 2:1, a wkrótce po fatalnej wpadce z Finami, na Hampden Park w Glasgow wygrała ze Szkocją 2:1. Czy możliwa jest „powtórka z historii?”... Nie ma sytuacji bez wyjścia. Trzeba znaleźć w reprezentacji miejsce zarówno dla niektórych przyblakłych gwiazdorów, jak i – z konieczności – dziś dominujących w niej przeciętników. Jak postąpi Górski?

Tymczasem selekcjoner był gościem honorowym na uroczystości XX-lecia istnienia „Piłki Nożnej”. Zaczynała w roku 1956 od miesięcznika redagowanego wyłącznie na wewnętrzne potrzeby PZPN, potem była czasopismem dostępnym również w publicznej sprzedaży, a od marca 1973 jest tygodnikiem. Kazimierz Górski był blisko jubilata od początku. Najpierw jako współtwórca „organu PZPN” i trener piszący, a potem stały gość redakcji. Wraz z nim – z powodzeniem można tu użyć parafrazy modnego wtedy sloganu – „*Reprezentacja rosta w siłę, a tygodnikowi żyło się dostatniej*”. Górski jak diabeł święconej wody, unikał towarzystwa kobiet. Na jubileuszu „Piłki Nożnej” był jednak wobec płci pięknej wyrozumiały i jak zawsze elegancki. Fotoreporter Tomasz Prażmowski utrwalił ten niezwykły moment na zdjęciu: – **On jeden wśród pięciu pań.**

Powiadają, że „na bezrybiu i rak ryba”. Złośliwcy tak właśnie skomentowali wywalczenie w roku 1976 mistrzostwa Polski przez Stal Mielec. To nieuzasadnione porównanie, bo był to sukces zasłużony. Ton w tym klubie wciąż nadawa-

li reprezentanci Polski: Zygmunt Kukła, Krzysztof Rześny, Henryk Kasperczak, Jan Domarski i Grzegorz Lato. Usiłował im dorównać Zbigniew Hnatio, rzucając na szalę ambicję i siłę. Koledzy, nawet trenerzy, wciąż nazywali go „gladiator”. On nie grał, on walczył na boisku! Urokowi takiej postawy uległ także selekcjoner, powołał Hnatię na mecz z Grecją w Atenach. Mocno to Kaziowi wytknąłem. Echa tej różnicy zdań odżyły na spotkaniu trenera z kibicami na zamku w Golubiu-Dobrzyniu. Zapytano tam Górskiego, dlaczego taką właśnie podjął decyzję. Trener się tylko uśmiechnął i poprosił, bym go wyręczył w odpowiedzi.

Takim postawieniem sprawy mocno się ubawiłem, ale starałem się zadowolić racje pytających i pytanego:

– No cóż, ha, ha, ha! – Nawet „mistrzowie selekcji” mogą się mylić. W naszej zwariowanej lidze obiektywna ocena graczy jest wyjątkowo trudna. Nie spełnia swoich podstawowych funkcji. Kryzys jest widoczny. O ile jednak w sezonie 1974/1975 rangę ligi obniżala głównie nicość moralna, o tyle w roku olimpijskim sprawia to wyraźny regres w szkoleniu. Zawodzą najwybitniejsi zawodnicy. W tej sytuacji trener Górski postawił na „gladiatora”. Ale i on prochu nie wymyślił...

Praca szkoleniowa w naszych klubach, może właśnie poza Stalą Mielec, gdzie pracował Edmund Zientara, z reguły nie zaspokajała potrzeb reprezentacji. W przededniu odlotu na Olimpiadę w Montrealu kuląla najmocniej. Nawet zazwyczaj przychylny klubom Kazimierz Górski zaczął miewać wątpliwości i... niespokojne sny. Bolało go, że starsi i niewątpliwie zasłużeni zawodnicy przeraźliwie szybko spuścili z tonu, a ich młodzi następcy za wolno robią postępy. W tej sytuacji selekcjoner zaufał niedawnym mistrzom. Utalentowani: Paweł Janas, Zbigniew Boniek, Janusz Kupcewicz, Marek Kusto, Zdzisław Kapka i Tadeusz Pawłowski zostali więc w domu. Zbigniew Boniek z nieukrywanym żalem przyjął decyzję Górskiego. W odpowiedzi usłyszał: – *„Jesteś tak młody, że jeszcze*

niejedną Olimpiadę zaliczysz”. Nie zaliczył. Ma w dorobku liczne trofea klubowe i reprezentacyjne, krajowe i zagraniczne, ale medalu olimpijskiego – nie. Zadra w sercu kłuje do dziś. Być olimpijczykiem – to zaszczyt największy! Boniek tego smaku nie zna...

Jednak współczuć należało przede wszystkim Górskiemu. Czas już nie był jego sprzymierzeńcem. Nie miał takich możliwości manewru jak przed Monachium '72 i Weltmeisterschaft '74. Wtedy jego wybrańcy dopiero wspinali się na piłkarskie szczyty i byli głodni sukcesów, teraz zaczęły przeważać u nich skłonności do wygodnego życia. Byli młodzi, błędzili. Bierność i pobłażliwość zwłaszcza działaczy klubowych była tu przerażająca. Trenerzy też nie byli bez grzechu, nie egzekwowali podstawowych zadań szkoleniowych. Tolerowali wygodnictwo zawodników. Między innymi dlatego nasz „wślizg” i nasz „pressing” wciąż był w stanie embrionalnym. Tylko w Mielcu w stopniu dostatecznym zmuszał do wysiłku Edmund Zientara.

Siedemnastoosobowa kadra olimpijska z nowicjuszami Piotrem Mowlikiem, Wojciechem Rudym, Henrykiem Wawrowskim, Romanem Ogazą i Janem Benigierem szlifowała formę w Zakopanem. Pracowano w miarę solidnie, ale zapału z 1972 i 1974 nie było widać. Ostatnim sprawdzianem przed odlotem za Ocean było towarzyskie spotkanie z amatorską reprezentacją Brazylii. Z taką drużyną przegrać nie wypadało, przyszło więc pierwsze zwycięstwo w 1976 roku. Powodów do zachwyty było jednak niewiele. Poziom i styl gry „biało-czerwonych” wciąż nie był olimpijski. Przy całej skromności i pewnej dozie asekuracji jednak widzieliśmy Polaków w ścisłym gronie faworytów.

Były to Igrzyska niespodzianek. Dla nas zaczęły się fatalnie – od bezbramkowego remisu z Kubą. Tylko rwać włosy z głowy! Jedenastu członków „srebrnej drużyny” z X Mistrzostw Świata z trudem ratuje jeden punkt w meczu z przeciwnikiem, który nigdy nie był potęgą w futbolu. Co nas czeka w pojedynku z Ira-

nem? Trzeciego spotkania w grupie C nie będzie, bo Nigeria – na znak protestu – wycofała się z Igrzysk. Motywy? Wyłącznie polityczne. Konkretnie: Ghana, Nigeria i Zambia potępiły Nową Zelandię za utrzymywanie kontaktów sportowych z rasistowską wówczas Republiką Południowej Afryki. Zatem turniej kadłubowy. W Monachium strzały terrorystów z organizacji „czarny wrzesień”, w Montrealu protest Czarnego Łądu. To się kłóci z ideą olimpizmu.

Redakcja „Piłki Nożnej” nie miała w Montrealu własnego wysłannika. Znowu „z powodu braku dewiz”, ale chyba też z braku „woli politycznej”. Naszym sprawozdawcą był Witold Dłużniak, były wiceprezes PZPN związany z „białym domem”. Nie za bardzo wiedział, dlaczego nasi grają słabo. Zrzucił więc całą nieporadność na brak dostatecznej aklimatyzacji, ale apelował, by nie tracić nadziei. Rzeczywiście, po wygranej w grupie eliminacyjnej z Iranem 2:1, w ćwierćfinale przyszło wysokie zwycięstwo nad przestraszoną Koreą Północną 5:0. Wreszcie w półfinale wygrana z Brazylią 2:0 i... decydujący pojedynek o złoto z drużyną NRD. Przeciwnik był wyraźnie lepszy i wygrał 3:1. Nieco pomógł mu brak w naszym zespole niedysponowanego Jerzego Gorgonia i śpiąca postawa Jana Tomaszewskiego.

Srebrny medal olimpijski, to też niecodzienne osiągnięcie, ale tym razem nie zadowoliło ono opinii publicznej. Fanfar nie było. Nawet król strzelców Andrzej Szarmach miał na Okęciu skromne powitanie. Przeważały głosy niezadowolenia i wizja „końca pewnej epoki”. Trzeba było odpowiedzieć na pytanie: „*Co po Montrealu?*”... Kadra dobrze grających zawodników topniała w zastraszającym tempie. Trener Górski nie ma już entuzjazmu beniaminka, myśli o spokojniejszej pracy. Zresztą już przed Olimpiadą nie miał odpowiedniego wsparcia ze strony młodszych trenerów. Jacek Gmoch i Andrzej Strejlau już od roku nie pracowali w PZPN. Rozpad zasłużonego sztabu szkoleniowego. Ryszard Kulesza jeden z możliwych następców Górskiego coraz wyraźniej był spychany na boczny tor.

Rozpłynął się gdzieś przyjazny dotychczas klimat wokół reprezentacji. Górski zapowiedział rozstanie z PZPN.

Polityka kadrowa w pracy z drużyną narodową już od dłuższego czasu była zła. Nie zadbano o wykreowanie pełnowartościowych następców. Jedną i tą samą drużyną trzymano trzy sroki za ogon: Igrzyska Olimpijskie, mistrzostwa Europy i mistrzostwa świata. To ponad ludzkie siły. Był pomysł, aby w Montrealu dać szansę nieco młodszym zawodnikom, mniej dotychczas znanym, ale obiecującym i jeszcze piłkarsko nie wyeksploatowanym. Łaknącym sukcesu! Uznano to jednak za złe rozwiązanie. Zwyciężył pogląd, że tylko doświadczony zespół może obronić złoty medal olimpijski. Nie obronił. Zaprzepaszczono przy tym szansę sprawdzenia w trudnej walce potencjalnych kandydatów do drużyny na kolejne mistrzostwa świata w Argentynie.

Optowałem za jednoczesną budową dwóch reprezentacji – na Igrzyska Olimpijskie i mistrzostwa świata. Przemawiały za tym doświadczenia z przeszłości, kiedy obok pierwszej drużyny narodowej, tworzone tzw. reprezentację B. Była dobrym poligonem dla zaplecza, a najlepsi z jednej i drugiej dobrym materiałem ludzkim dla selekcyjera. Gdy przed Montrealem próbowałem wskazać korzyści płynące z takiego rozwiązania naskoczono na mnie z wielu stron: – Czy to wypada mącić błogi nastrój przed Olimpiadą? Usiłowałem wytłumaczyć, że ważniejsza jest budowa reprezentacji na mistrzostwa świata, ale uwagi te zignorowano. Szermowano jednak wizją „przygotowań do eliminacji mistrzostw świata w Argentynie zaraz po zdobyciu olimpijskiego medalu”.

Słowa, słowa, słowa... Jak powinno się grać w piłkę nożną w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, pokazały mistrzostwa Europy w Jugosławii. Zostaliśmy daleko w tyle za europejską czołówką. Padła też Holandia po celnych strzałach reprezentantów Czechosłowacji. W tym czasie u nas nawet nie kiwnięto palcem w bucie, by na Argentynę przygotować zespół nie gorszy, niż był ten re-

welacyjny z boisk RFN. Koło historii się zatrzymało, nie zrobiono najmniejszego kroku w kierunku postępu. Hamowano dostęp utalentowanej młodzieży do reprezentacji. Awans dwudziestolatków był czymś wyjątkowym. Nie tak dawniej bywało. Włodzimierz Lubański już jako junior strzelał bramki dla pierwszej reprezentacji.

Kazimierz Górski, kiedy przejął reprezentację, postawił odważną tezę „*Musimy grać inaczej i lepiej*”. Niespełna sześć lat później niestety – znowu było tak samo i jeszcze gorzej. Po Olimpiadzie w Montrealu nie mieliśmy nawet dwudziestu w miarę równorzędnych kandydatów do kadry narodowej. Nie było też zawodników wybitnych i w takiej formie, jak niegdyś: Lubański, Deyna, Gadocha, Lato, Szarmach, Tomaszewski. Oni już tak dobrze grać nie będą. Najlepsze dni większość z nich miała poza sobą. Niewiele zrobiono, aby równie utalentowani Boniek, Kupcewicz, Terlecki mogli godnie ich zastąpić lub... zagrać wraz z nimi w jednej drużynie. Szansą była Olimpiada, ale z niej nie skorzystano. Gdzie zaczyna się i kończy granica piłkarskich możliwości? Na to pytanie racjonalnej odpowiedzi nie znano. Przedłużono tylko kariery mocno już wyeksploatowanych zawodników, a o tworzeniu nowych wartości zapomniano.

Kazimierz Górski publicznie już nie wygłaszał swoich „złotych myśli”. Po Montrealu definitywnie rozstał się z reprezentacją. Pożegnanie nie było jednak tak okazałe, ciepłe i optymistyczne jak przed laty powitanie. A przecież na to zasłużył. Wraz z odejściem Górskiego zakończyła się jedna z najwspanialszych epok w polskim piłkarstwie. Radosna i pełna autentycznych sukcesów. Murzyn zrobił swoje... Kazio zegnał się więc z krajowym futbolem w niezbyt pogodnym nastroju. Mierziła go niesprawiedliwa ocena – „tylko srebro w Montrealu?”... Wierzył, że w tym samym składzie, tylko nieco lepiej przygotowana i bardziej skoncentrowana nasza drużyna, była w stanie obronić złoty medal. Kto zawinił?

Nie dramatyzował. Przekonywał tylko, że olimpijski finał to też niecodzienne osiągnięcie. Odpowiadał malkontentom:

Będę teraz spoglądał na reprezentację z nieco innej pozycji. Życzę moim następcom sukcesów, obawiam się jednak, że na kolejny medal olimpijski będziemy musieli poczekać co najmniej kilkanaście lat. Wtedy na pewno to, co dziś jest porażką, będzie sukcesem...

Kto po Górskim? – to było teraz najważniejsze pytanie. Media miały swoich faworytów. A co sądzono w PZPN? Prezes Jan Maj skwitował to krótko „*dzisiaj jeszcze dokładnie nie wiadomo*”. Łaknący informacji z pierwszej ręki wybrałem się na posezonową naradę pionu szkolenia PZPN. Tu powinni spojrzeć na sprawę bardziej kompleksowo. Istotnie wiceprezes, Henryk Loska i kierownik wyszkolenia Jerzy Talaga nie ukrywali, że całe polskie piłkarstwo znalazło się w trudnej sytuacji. Nieudolnie pracowano w klubach, błędy popełniano w PZPN. Stawiane diagnozy były jednak mało krytyczne, a końcowe wnioski nie gwarantowały wyjścia na prostą. Głośno mówiono o chorobliwych skłonnościach działaczy klubowych do handlowania punktami i zawodnikami, ale winnych nie wskazano. Delegaci pytali więc rzeczowo:

Czyżby tymi niecnymi procedurami zajmowała się jakaś obca agencja?

Nikogo nie satysfakcjonowała propozycja zawarcia w tych drażliwych kwestiach „dżentelmeńskiej umowy między klubami”. Już to przerabialiśmy, a wyniki – tak, jak były, są opłakane. Nie odkryto też Ameryki ogłaszając, że „nie mamy w tej chwili drużyny na Argentynę”. Pisałem o tym już przed Montrealem.

Na początku sierpnia 1976 roku reprezentacja w zasadzie miała już nowego selektonera-trenera. Był to Jacek Gmoch. Dziennikarze tygodnika „Piłka Nożna” przyjęli tę nominację spokojnie, bez przejawów zaskoczenia. „Jackie” już od dość dawna przekazywał do redakcji korespondencje ze Stanów Zjednoczonych, gdzie nadal się uczył i pracował. Dość często rozmawiał też z nami te-

lefonicznie. Wiedzieliśmy, że ma ochotę powrócić do kraju, oczywiście do futbolu i najchętniej do PZPN. Sprawę znał też Henio Loska. Konsultacje dotyczyły sukcesji po Górskim. Awans Gmocha był praktycznie przesądzony. Kiedy ostatecznie zapadła klamka, zadzwoniłem do Gmocha, mieszkającego wówczas w Filadelfii i zapytałem, czy dobrze czuje się w roli trenera reprezentacji. Przyjął to jako dziejową sprawiedliwość.

– Czy ma pan tremę?

– Jaki pan i jaką tremę?! Zapomniałeś, że mam na imię Jacek?... Tremy nie mam, tylko wątpliwości, a to zupełnie inne uczucie. Tremę może mieć debiutujący zawodnik, sytuacja trenera jest inna. Na końcowy efekt jego pracy składają się działania wielu ludzi: piłkarzy, innych trenerów, działaczy. Nie jestem cudotwórcą, sam nie dam rady! Stąd ta wątpliwość... Ale wiem też, że są w kraju ludzie, na których mogę polegać. Ty też do nich należysz...

– Czy masz receptę na lepszą grę wciąż jeszcze trzeciej drużyny świata?

– Nie mam i sądzę, że nikt takiej recepty nie ma. Wiem natomiast, że istnieje pałaca potrzeba zmian w szkoleniu i organizacji pracy z reprezentacją.

– A „bank informacji”, którego byłeś niekwestionowanym twórcą?

– O, to dobry przykład. Parę lat temu, to była nasza „tajna broń”, ale dziś już nie jest. Teraz w piłkarski wywiad bawi się każdy szanujący się trener. Problem w tym, żeby to był wywiad najlepszy. Trzeba więc ulepszyć jego organizację.

– Jak tam z twoim wykształceniem? Magister inżynier Jacek Gomch nie miał trenerskich uprawnień.

– Ale już mam! Przed wyjazdem do USA zdałem eksternistycznie egzamin i otrzymałem tytuł trenera drugiej klasy.

– Kiedy wracasz do Polski?

– Siedzę na walizkach. W czwartek 26 sierpnia wsiadam do samolotu. Zobaczymy się na Okęciu...

Jacek był zawsze uparty, odważny i konsekwentny. I pamiętliwy! Z obrzydzeniem wspominał działacza, który nie widział w nim dobrego piłkarza. *Ja mu pokażę! Wkrótce będę reprezentantem Polski...*” Najpierw rozegrał wiele doskonałych spotkań w Legii, a potem w reprezentacji w towarzystwie Szymkowiaka, Pohla, Brychczego, Oślizły, Blauta, Szołtysika, Szczepańskiego i Lubańskiego. Trzydzieści razy... Bardzo sobie cenił słowo „kompromis”, ale nie wahał się dzielić przeciętnych zjadaczy chleba na „przyjaciół” i „wrogów”. Tych drugich z reguły zaskakiwał niekonwencjonalnymi rozwiązaniami. Wyprzedzał ewentualne ciosy. Na studiach godził naukę ze sportem. Tu kompromis był Gmochowi potrzebny, bo w młodości los go nie głaskał, fortuna niechętnie pieściła. Musiał umieć reagować na dobro i zło. Stąd tak duża rezerwa wobec osób niekompetentnych.

Otrzymał tytuł magistra inżyniera komunikacji. Dziekan, profesor Stanisław Lenczewski znał piłkarskie upodobania Jacka, przeto prosił go, by teraz poświęcił się zawodowi. Sport jest w życiu człowieka tylko epizodem – przestrzegał – czymś krótkotrwałym. Na tym nie można budować swojej przyszłości. Gmoch przyjął tę uwagę ze zrozumieniem, podziękował za dobre słowo, ale też pozostał przy swoim. Nie ukrywał, że piłka nożna jest pasją jego życia i czuje, że jest jej potrzebny. Futbol też jest zawodem. Red. Grzegorz Aleksandrowicz po tym wyznaniu powiedział, że *„woli Gmocha piłkarza, niż inżyniera”*. Bałby się przejść przez most zbudowany przez Jacka, ale w futbolu miał do niego pełne zaufanie.

Jacek też był przekonany, że dużo więcej jest w stanie dokonań w futbolu. Często rozmawialiśmy na ten temat podczas wspólnej kuracji w Instytucie Reumatologii w Warszawie. W piłkarstwie – mówił Gmoch – „trzeba wiedzieć wszystko o wszystkim”. Dla znawcy nie może tu być żadnych tajemnic. Zawodników zaś starał się przekonywać, że „przeciwnik nie jest wcale lepszy”. Te cechy charakteru i głęboka znajomość futbolu zjednały Gmochowi uznanie w świe-

cie. Słynny Allan Wade właśnie u Gmocha zasięgał opinii o przyczynach regresu angielskiego piłkarstwa, a Helmut Schoen uznał go za „tajną broń” Kazimierza Górskiego. Zanim Jacek wydał swoją „**Alchemię futbolu**”, w tygodniku „Piłka Nożna” opublikował serię artykułów pod tytułem „**Źródła zwycięstw i porażek**”. Tytan pracy? Raczej jeden z niewielu ludzi, którzy dowiedli, że można pogodzić wielki sport z nauką.

Jako piłkarz – zwierzał się – słynałem z twardości, nieustępliwości. Mówiono, że umiem walczyć. Tak, do walki i pokonywania trudności jestem przyzwyczajony. Nauczył mnie tego sport. Przeżyłem z tej racji niejedną satysfakcję. Lubię przeżywać to uczucie. Od czasu do czasu trzeba się z czegoś cieszyć, coś dobrego dokonać, czymś ludzi zainteresować. Mam prawo tak mówić, bo u boku Kazimierza Górskiego mam za sobą XX Igrzyska Olimpijskie w Monachium, Wembley i X Mistrzostwa Świata w RFN! Teraz jest przed nami Argentyna. Musimy tam być!

PO GÓRSKIM BYŁ GMOCH

W końcu sierpnia 1976 roku Jacek Gmoch oficjalnie zastąpił Kazimierza Górskiego. Uczeń przejął więc zadania nauczyciela. W życiu społecznym zjawisko dość często spotykane, ale w historii naszego futbolu rzadkie i mało popularne. Decydenci chętniej powierzali opiekę nad reprezentacją ludziom – jak mówili – o „nowych twarzach”, niż asystentom ustępującego trenera. Nie dostrzegano tu potrzeby kontynuacji i naturalnego awansu. Teraz zarysowała się w tej materii nowa jakość. Górski i Gmoch najpierw w relacji trener – zawodnik poznali się w klubie, a potem razem pracowali w PZPN. Przy zmianie ról podali sobie ręce. Jacek, przejmując „błogosławieństwo” Kazia, niechętnie jednak wracał do przeszłości, nie miał też wizji przyszłości, skupił się na teraźniejszości.

Ważny jest tylko najbliższy mecz z Portugalią – powiedział. – Nadal drugim trenerem będzie Rysio Kulesza, a szefem banku informacji Benio Blaut. Wróci doktor Janusz Garlicki, zaś kierownikiem drużyny zostanie Maciej Górzyński. Stałej kadry narodowej nie będzie. Potencjalnymi kandydatami są wszyscy zawodnicy z naszych lig. Ale w reprezentacji będą grać tylko najlepsi...

– Co ty na to? – zapytałem Górskiego.

To jest pomysł Jacka... Jego sprawa... Życzę mu sukcesów. A wiem jak to osiągnąć, zresztą on też... Kilka lat udanie ze sobą pracowaliśmy. Obaj dobrze wiemy, że sukces można wywalczyć tylko z zespołem ludzi ambitnych, mających zaufanie do trenera i jego koncepcji. Podzielę się z Jackiem moją wiedzą o reprezentacji olimpijskiej, co po niej zostało dobrego i złego. Bo kłopotów ostatnio było sporo...

Podobnie jak wcześniej z Kazimierzem Górskim przed meczami z Holandią, tak teraz z Jackiem Gmochem przed spotkaniem z Portugalią, redakcja „Piłki Nożnej” przeprowadziła kilka rozmów. W pierwszej nowy selekcjoner zapowiedział, że uczyni wszystko, aby zawodnikom przywrócić wiarę w ich umiejętności i znowu zbliżyć do kibiców, odzyskać ich przychyłność. W drugiej rozmowie już dzielił się pierwszymi uwagami z obserwacji spotkań ligowych. Podobała mu się gra Śląska Wrocław, ŁKS-u, Ruchu Chorzów i młodzieżowej Wisły Kraków. Dziwił się tylko, że w tej grupie nie ma Górnika i Legii. Był przy tym dość tajemniczy, nie próbował oceniać formy poszczególnych kandydatów do reprezentacji i zdradzać szczegółów przygotowań do meczu z Portugalią. Po co rywal ma wszystko wiedzieć?!...

W naszej redakcji takich obaw nie mieliśmy. Po Igrzyskach Olimpijskich w Montrealu dokonaliśmy dogłębnego „przeгляdu stanu posiadania”. Sytuacja wśród bramkarzy nie była najgorsza, Jan Tomaszewski za swoimi plecami czuł już coraz silniejszy oddech Piotra Mowlika, Zygmunta Kukli i Jana Karweckiego, ale

wśród obrońców takiego bogactwa nie było. Uznaliśmy, że pilnie poszukiwani są następcy: Gorgonia, Bulzackiego, Musiała, Szymanowskiego. Żaden z bocznych w grze obronnej nie dorównuje Zygmuntowi Anczokowi, a w ofensywnej (głównie strzał z dystansu) Władysławowi Stachurskiemu i Romanowi Bazanowi. Na pozytywną ocenę w przekroju całego sezonu zasłużył tylko Władysław Żmuda.

Starłem się też przypomnieć zadania, jakie w drużynie powinni spełniać gracze drugiej linii: – Tych trzech musi być jak jeden! Ktoś przecież w nieco większym stopniu musi wykonywać „czarną robotę”, ktoś inny tworzyć akcje i strzelać bramki, a ten trzeci głównie wspomagać obrońców. Ale żaden nie może być fuzzerem, partaczem, piłkarzem niedouczonego. Dla pomocnika w futbolu nie powinno być żadnych tajemnic. Takich mieliśmy w roku 1974, a teraz?... Na mecz z Portugalią pewniakiem był tylko Deyna. To za mało, Gmoch miał niewielki wybór. Nawet Janusz Kupcewicz i faworyt numer jeden Zbigniew Boniek jeszcze nie dorównywali Kasperczakowi i Maszczykowi. A więc póki co chuchać i dmuchać trzeba było na Deynę i Kasperczaka. Optymistycznie wypowiedzieliśmy się tylko o napastnikach.

Tymczasem Bernard Blaut podglądał Portugalię. Miał dobrze „rozpracowaną”, bo wiosną w Rzymie wraz z Kazimierzem Górskim obserwował mecz Włochy – Portugalia, a we wrześniu w Dreźnie spotkanie Dynamo Drezno – Benfica Lizbona. Przed meczem z Polską prawie przez trzy tygodnie trener Jose Maria Pedroto szlifował formę kadrowiczów w Estorilu i Porto. Jacek Gmoch tak korzystnych warunków przygotowań nie miał. Rozgrywki ligowe oraz udział czołowych drużyn klubowych w europejskich rozgrywkach pucharowych nie pozwalały na tak długie zgrupowanie. Kluby dobrze wykorzystywały swój czas. Wisła na wyjeździe zremisowała z Celtikiem Glasgow, a Stal u siebie dzielnie walczyła z Realem Madryt (1:2). Frycowe w pełnym wymiarze zapłacili tylko piłkarze GKS Tychy, w Kolonii przegrali z IFC Koeln 0:2.

Zgodnie z oczekiwaniami Śląsk wygrał na Malcie 4:1. Wraz z red. Jerzym Zmarzlikiem, do niedawna kolegą redakcyjnym z „Przeglądu Sportowego”, towarzyszyłem wojskowym z Wrocławia w ich wyprawie do La Valletty. Była to dla piłkarzy Śląska li tylko mało wyczerpująca rozgrzewka. Floriana – to europejski outsider. Typowo amatorskiego statusu tego klubu nie znał jednak trener Śląska Władysław Żmuda. Spotkał się więc z wysłannikami „PS” i „Piłki Nożnej” i jak najbardziej poważnie zapytał:

– Zapewne orientujecie się panowie redaktorzy czy maltańscy są jeszcze na zgrupowaniu?

– Jakim zgrupowaniu?

– No, przed meczem ze Śląskiem...

Ledwo dostrzegalny uśmiech był naszą odpowiedzią. Floriana na obozie przygotowawczym? Tony Formosa zapewnił nas, że jego piłkarze to w każdym calu amatorzy. Trenują i grają wyłącznie po pracy, więcej – część z nich pracy poszukuje. Są bezrobotni... Panu Władziowi spadł kamień z serca. Zadowolony zaprosił na „małą czarną”. Po kolacji ugościło nas również kierownictwo Śląska. Był gruziński koniaczek i nasza „Wyborowa”.

Przed grą Zmarzlik i ja wybraliśmy się na basen. Najpierw po kufelku „Heinekena”, a potem pływanie. W tym mój partner był wyjątkowo kiepski. Nagle zaczął tonąć. Przypomniało mi się prawo Archimedes: ciało zanurzone w wodzie traci pozornie tyle na wadze, ile waży wypchnięta przez nie woda. Ciężki nie będzie. Wyciągnąłem Jurka w bezpieczne miejsce. Biedaczysko, nie umiał pływać. A opowiadał mi kiedyś, że w Sosnowcu jest mnóstwo krytych basenów. Podobno jeden na dziesięć tysięcy mieszkańców. Mógł nawet latem pokąpać się w Brynicy, ale on wolał zimą pograć w hokeja na lodzie.

Trener Żmuda dał odpocząć w tym meczu kadrowiczom: Władkowi (Żmudziel!), Janowi Erlichowi i Zygmunutowi Kalinowskiemu. „The Stadium Gzira” to

jakiś relikw z dalekiej przeszłości. Dziś lepsze bywają klepiska. Jednak nikt z naszych nie narzekał. Trener Formosa był zadowolony.

– Wy, Polacy nie zadzieracie nosa. – Nie przeszkadzał wam żwir i kałuże wody. Dziękuję za taką postawę... To spodobało się publiczności. Oklaskiwała wasze zwycięstwo...

Wieczorem zaproszono całą ekipę na kolację do restauracji w Sliemie. Gości mnóstwo, gra orkiestra, żony działaczy i piłkarzy Floriany same zapraszają nas do tańca. Tu taki zwyczaj. – Mężów – powiadają – to mamy w domu, a tu sympatycznych nieznajomych. Lubimy bawić się w takim towarzystwie... Okazało się, że najważniejszym gościem tego spotkania był nowy premier Malty, Dominic Mintoff z Partii Pracy. Właśnie wygrał wybory i teraz z przyjaciółmi bawi się, śpiewa i tańczy. Zapowiada pełne usamodzielnienie kraju i – co szczególnie ucieszyło piłkarzy Floriany – walkę z bezrobociem. Maltański futbol też na tym skorzysta.

Śląsk wygrał również rewanż z Florianą, a w drugiej rundzie dwukrotnie pokonał Bohemians Dublin 3:0 i 1:0. Obserwowałem te zwycięstwa, w obydwóch Polacy byli wyraźnie lepsi. We Wrocławiu grali na półobrotach i zwyciężyli 3:0, a w Dublinie wygrana 1:0 wymagała wysiłku sięgającego 75 procent możliwości drużyny. Grali już Kalinowski, Żmuda i Erlich. Byli najlepsi w zespole. Dobrze zaprezentowali się również Zygmunt Garłowski i Józef Kwiatkowski. Śląsk awansował więc do ćwierćfinałów Pucharu Zdobywców Pucharów. Stal Mielec, Wisła Kraków i GKS Tychy wcześniej pożegnały się z piłkarską Europą. Na słowa uznania zasłużyła jednak Stal znad Wisłoki. W Pucharze Mistrzów wprawdzie przegrała oba mecze z wielkim Realem Madryt, ale w najskromniejszych rozmiarach 1:2 i 0:1.

Start naszej srebrnej drużyny na Igrzyskach Olimpijskich w Montrealu, definitywnie zamknął określony etap pracy z reprezentacją. W prasie, nie tylko

sportowej, na wszelkie możliwe sposoby oceniano dokonania Kazimierza Górskiego. Były wyjątkowe, w przeszłości żaden inny trener-selekcjoner nie osiągnął tak dobrych wyników. Prawie sześć lat „ery Górskiego” to 73 rozegrane mecze, w tym 45 zwycięskich, 12 zremisowanych i... tylko 16 przegranych. Bardzo korzystna różnica bramek 157-63. Na arenie międzynarodowej zaowocowało to dwoma medalami olimpijskimi i trzecim miejscem na mistrzostwach świata. Nie bez podstaw pytano więc: Czy ktokolwiek i kiedy osiągnie więcej? **„Dziękujemy”**:

...Są w piłkarstwie funkcje hierarchiczne – formalnie biorąc – ważniejsze od selekcjonera: prezes, wiceprezesi, sekretarz generalny, kierownik wyszkolenia PZPN. Jednak ich praca, wysiłki, osiągnięcia i potknięcia nie są tak powszechnie, tak gruntownie oceniane i tak komentowane jak szefa drużyny narodowej. Nikt tak, jak on nie tkwi w kręgu społecznego zainteresowania i niemalże ambulatoryjnej obserwacji kibiców. Każdy krok selekcjonera, każda decyzja – dobra lub zła jest szeroko dyskutowana. Każdy sukces przysparza trenerowi reprezentacji setki tysięcy zwolenników, każda porażka – rodzi tłumy niezadowolonych, w tym także tych „najlepiej wszystko wiedzących”.

Kazimierz Górski niemal przez sześć sezonów piastował to trudne i odpowiedzialne stanowisko. Przez cały ten czas miał znacznie więcej przyjaciół niż wrogów, dużo pochwał i oklasków. Zasłużone wyróżnienia. Wszak nie wyrósł sroce spod ogona. Najpierw był świetnym piłkarzem – kapitanem ligowej drużyny, reprezentantem Polski, a potem stał się wybitnym trenerem – cenionym w ligowych klubach i PZPN. Pracował z juniorami, młodzieżowcami, seniorami. Znał zawodników, można powiedzieć – „od startu do mety”. Ułatwiało to ocenę skali ich talentu, możliwości, postępów, upodobań. Piłkarze najbardziej lubią strzelać bramki. Górski to wiedział, czuł i podziwiał, to wzbogacało jego spojrzenie na piłkę nożną – preferował grę ofensywną. Cały dowcip w tej grze polega na tym – przekonywał – żeby strzelić jedną bramkę więcej niż przeciwnik.

Największą zaletą dobrego selekcjonera jest umiejętność wyboru odpowiednich zawodników do wizji drużyny, jej kształtu, koncepcji. Pan Kazimierz posiadał ten dar w wymiarze dla innych nieosiągalnym. Fakty to potwierdzają! Najgłośniej komentowano na pozór sensacyjne powołanie do kadry Żmudy i Szarmacha, przedtem Kasperczaka i upór trenera w sprawie nobilitacji Jana Tomaszewskiego. Nie bez sprzeciwów mediów wykreował też realizatorów zadań specjalnych – Ćmikiewicza i Kraskę. Wszystkie te ryzykowne decyzje zdały reprezentacyjną próbę na stadionach Wembley, Stuttgartu, Frankfurtu nad Menem, Monachium...

Nie sposób pominąć osobistych walorów Górskiego. Powodzenie, rozgłos, sława nie przewróciły mu w głowie. Jest nadal taki, jaki był zawsze: skromny, spokojny, cierpliwy, wyrozumiały, ojcowski, wrażliwy. Rzadko kto, będąc tak wysoko notowanym przez opinię publiczną, potrafi zachować te cechy. Niestety, te niezwykle walory, klasa i delikatność w obcowaniu z ludźmi, były dość często niewłaściwie wykorzystywane przez niektórych zawodników, trenerów, działaczy i... dziennikarzy. To smutne, ale w życiu bywa i tak, że najlepsze wartości człowieka po jakimś czasie obracają się przeciw niemu.

Górski najboleśniej przeżył inwektywy skierowane pod adresem piłkarzy i swoim szczególnie przez tygodnik „Film”. Śmiał się, gdy recenzenci kinowi przypisywali kopiującym piłkę li tylko możliwości szybkiego zrobienia szmalu i korzystania z bezpłatnych wycieczek zagranicznych, złościł – gdy naszych „piłkarskich amatorów” posądzano o wtórny analfabetyzm, nieróbstwo, lenistwo i nie-subordynację. Jaki pan, taki kram: winą za taką postawę reprezentantów obciążono właśnie Górskiego. Nie narzucony system społeczno-polityczny i nie piłkarskie „ni pies, ni wydra”, tylko selekcjonera-trenera.

...Pan Górski – wygłupiano się w „Filmie” – który jest niezłym aktorem, zapomniał wszakże, że w RFN taktykę gry opracował Jacek Gmoch, gdy nasz trener zajmował się głównie sprzętem, kuchnią i udzielaniem skromnych wywia-

dów... Na szczęście zapowiedział dymisję, co nawet piłkarscy analfabeci przyjęli z oddechem ulgi.

Wredna opinia, na szczęście przez historię potępiona, a sportowe dokonania właściwie ocenione. Wtedy tych „piłkarskich analfabetów” najwięcej było właśnie w obozie filmowego paszkwilanta. Dziś jest ich sporo również w kilku innych redakcjach. Wydają tam sądy ludzie bez odpowiedniego przygotowania, wyłącznie pod wpływem ulotnych emocji i chęci przypodobania się wydawcy. Wiedzy nie mają, ale tupetu, bezczelności i węszenia sensacji – w nadmiarze. Byłem z Górskim w tamtych – trudnych dla niego – chwilach. Miał dość tłumaczenia się za „tylko srebrny medal w Montrealu” i rzekomo wysoką stopę życiową. Hipokryzja. Niezaprzeczalnych sportowych osiągnięć Górskiego w żadnej mierze nie równoważyły posiadane dobra materialne. Kazio miał sukcesy, ale nie miał pieniędzy. Żona, Marysia już podczas mistrzostw świata w RFN zwierzała mi się z tych kłopotów i w tajemnicy przed wścibską opinią publiczną ganiła nadmierny altruizm męża:

– Czy to prawda Jureczku – pytała mnie w Monachium – że piękny samochód marki BMW, który otrzymał od tej firmy w prezencie, przekazał PZP-N-owi? Każdemu pomaga, natomiast o rodzinie i sobie samym jakoś nie pomyśli... Czy nie mógłbyś przemówić mu do rozsądku?...

Tego Górskiemu akurat nigdy nie brakowało, gdy szło o dobro społeczne, ogólne. Mawiał: – Jesteś na tyle dobry, na ile coś dobrego potrafisz zrobić dla innych. – Nawet w momentach istotnych dla własnej kariery i pozycji materialnej, niemal z reguły górę brała lojalność wobec otoczenia i przekonanie, że „los tak chciał”. Trochę się temu dziwiłem, bo ta wiara Kazia w przeznaczenie dość wyraźnie kłóciła się z jego codzienną realistyczną postawą. Widocznie tak jest zapisane w gwiazdach. Górski urodził się po znakiem Ryby, a to – zdaniem astrologów – winno kształtować jego charakter, zalety i wady w sposób następujący:

cdn